

wiadomości *Lito*

Marian Axel

I I E



QUO VADIS ALBEE?

Wszystkie sztuki Edwarda Albee mają ten sam zasadniczy błąd — rodzą się ze ściśle określonego założenia intelektualnego, które jest poprawne, może nawet ciekawe, ale autor nie ma odwagi doprowadzić konfliktu do końca. I ratuje się instynktem teatralnym, bo prawdziwego talentu nie ma. Tak np. w swojej najlepszej sztuce „The American Dream”, która zaczyna się trochę jak parodia Ionescu, nagle zmienia nastrój i przechodzi ze satyry do długiego autobiograficznego monologu bohatera, tak pełnego Freuda w najgorszym, wyświechtanym gatunku że się jest zażenowanym naiwnością autora. W „Zoo Story” furia, z jaką Jerry doprowadza się do samobójstwa, jest mocna i przekonująca, ale tylko do chwili kiedy się zastanowimy jak sztuczna jest cała sytuacja i że gdyby Piotr się odezwał czy zaprotestował albo poszedł do domu, nie byłoby sztuki. „Virginia Woolf” od początku do końca nie ma sensu, chyba że przyjmiemy że jest to ukryty konflikt homoseksualny. Ale dlaczego autor nie ma odwagi do tego się przyznać?

I tu — zgadzam się z Tomem F. Driverem — dochodzimy do sedna sprawy, do zasadniczej nieszczerości sytuacji i charakterów w „Virginii Woolf”. Co kto czuje — tego nie mówi, a co mówi, de facto krzyczy i ryczy — tego nie czuje! W ten tan sposób mamy fajerwerk pseudoemocji, gniew na niby, zazdrość na niby, nienawiść na niby i miłość na niby. Publiczność nie jest irytowana naprawdę, ale konfrontowana z bezpiecznym uczuciem-na-niby, co jej daje możliwość bezbolesnego utożsamienia z postaciami sztuki. Przeżywa możliwość buntu — bez narażania na niebezpieczeństwo swoich cennych małoburżazyjnych wartości i bezuczuciowego, schizoidalnego nastawienia do życia. Innymi słowy, Albee dostarcza wszystkim tym co nie mogą, nie chcą, nie potrafią być organicznie zaangażowanymi, możliwość pseudoangażowania. Za jedne trzy dolary. To jest cenne, prawie bezcenne w warunkach amerykańskich.

Sukces Albee nie jest w całości jego winą — jest wyrazem głębokiej patologii widowni.